

Przemówienie Livii Fränkel, Uroczystości upamiętniające Neuengamme,

3. maja 2021 r.

Urodziłam się w małym miasteczku Sighet w Rumunii (Transylwania), która przed pierwszą wojną światową należała do Węgier.

Sighet liczył 30.000 mieszkańców, z czego jedną trzecią stanowili Żydzi. Było nas czworo w rodzinie: ojciec, matka, moja starsza siostra i ja. Ojciec miał własną firmę, zajmował się produkcją tektury falistej (pudełka i tym podobne). Biznes był dobry, dobrze zarabialiśmy i mieszkaliśmy w bardzo ładnym, nowoczesnym domu.

Moje dzieciństwo było bezpieczne i szczęśliwe. Nie było żadnych praw antyżydowskich, z wyjątkiem antysemityzmu wielu moich kolegów. Ale to było coś, do czego trzeba było się przyzwyczaić. Ja też. Zdarzyło się, że w szkole powiedziano mi: "Ty brudna Żydówko, wracaj do swojego kraju, nie jesteś mile widziana wśród nas, miłych chrześcijan!"

Mimo to wspominam swoje dzieciństwo jako piękne, bezpieczne i spędzone w ciepłej atmosferze.

Pamiętam wyraźnie 1. września 1939 r., kiedy wybuchła wojna. Matka szlochała słuchając radia i mówiła, że już przeżyła wojnę (to znaczy pierwszą wojnę światową). Czy teraz po raz drugi będzie musiała przejść przez wojnę?

Początkowo wojna nie dotyczyła nas bezpośrednio, ale słuchaliśmy wiadomości i dowiedzieliśmy się, że Hitler odnosi wielkie sukcesy. W Europie jeden kraj po drugim poddawał się, a mordowanie Żydów rozpoczęło się już od okupacji Polski. Latem 1940 roku Hitler zdecydował, że Siedmiogród powinien wrócić do Węgier. W sierpniu 1940 r. zmieniliśmy obywatelstwo z rumuńskiego na węgierskie i nasze życie zmieniło się całkowicie. Węgry przystąpiły do wojny, wprowadzono ustawy antyżydowskie. A nasze codzienne życie stawało się coraz bardziej ograniczone.

Docierały do nas pogłoski, że SS zabija Żydów w Europie. Ale bardzo trudno było uwierzyć, że cywilizowani ludzie, jakimi byli Niemcy, byli winni takich okrucieństw. Postanowiliśmy więc nie wierzyć plotkom. Tak więc minęły cztery lata, które były całkiem w porządku, zważywszy, że

rzeź Żydów europejskich trwała cały czas w wielkim stylu. My zaś nadal mieszkaliśmy w domu z naszymi rodzinami!

Jednak zimą 1944 roku Hitler zdał sobie sprawę, że przegrał wojnę. Był jednak zadowolony, ponieważ prawie udało mu się uczynić Europę "wolną od Żydów". W Europie nie pozostało już żadnych żywych Żydów, z wyjątkiem 850 000 na Węgrzech. I Hitler zdecydował, że jeśli miał umrzeć, zabierze te 850 000 Żydów ze sobą do grobu. Zwrócił się więc do prezydenta Węgier Miklosa Horthy'ego i zażądał wydania Żydów. Horthy odmówił, ale wtedy Hitler zrobił coś nieoczekiwanego: najechał na Węgry i zajął kraj, mimo że oba kraje były sojusznikami.

Tego dnia w marcu 1944 r., kiedy po raz pierwszy zobaczyłam niemieckich żołnierzy na drodze do Sighet, zaczęłam obawiać się o nasze życie. Teraz wszystko potoczyło się bardzo szybko. Pierwsza ustawa zmusiła nas do noszenia żółtej gwiazdy. To nie było takie złe. Pomyśleliśmy, że jeśli to wszystko, to będziemy nosić tę gwiazdę. Ale po dwóch tygodniach przyszło kolejne prawo. Na obrzeżach miasta utworzono getto, a nam kazano spakować się i przygotować do przeprowadzki do getta.

Bardzo bolesne było opuszczenie naszego pięknego domu i wszystkiego, co w nim było. Ale nawet to nie było takie złe. Zrobiliśmy, co nam kazano, spakowaliśmy wszystko, co było nam potrzebne i przenieśliśmy się do getta. Przeniesienie 10 tys. Żydów z Sighet do getta zajęło cztery tygodnie. Potem bramy zostały zamknięte. Nikt, kto nie należał do tego miejsca, nie mógł z niego wyjść ani wejść.

Po sześciu tygodniach pobytu w getcie powiedziano nam, że władze podjęły decyzję o ewakuacji getta i wywiezieniu nas gdzie indziej. Każdy z nas miał spakować walizkę, nie cięższą niż 15 kg. Dokąd mieliśmy pójść? Nikt nie potrafił odpowiedzieć nam na to pytanie.

Znów pojawiła się plotka, że Niemcy zabijają Żydów w Europie, ale wciąż trudno było w to uwierzyć. Optymiści wśród nas mówili, że to już wiosna i Niemcy pewnie zapędzą nas do pracy w polu. Ludzie nie mogli sami pracować na roli, bo wszyscy mężczyźni byli na wojnie, więc my Żydzi byśmy to robili. To nam odpowiadało. Dopóki rodzina trzymała się razem, wszystko było w porządku!

Spakowaliśmy się więc i przygotowaliśmy do wyjazdu. Wczesnym rankiem stanęliśmy przed domem w getcie i przyszli po nas żołnierze węgierscy. Z getta wyszedł ogromny tłum ludzi. Był

to pierwszy transport z Węgier, w sumie 3001 osób. (Wtedy tego nie wiedziałam, ale teraz wiem, bo wszystko jest udokumentowane).

To był piękny letni dzień, z czystym niebem. Przejechaliśmy przez miasto i pożegnałam się z domami, z moją starą szkołą. Pomyślałam: "To zbyt piękny dzień, by umierać". Takie były moje odczucia.

Doszliśmy do stacji kolejowej, gdzie pilnowali nas wspólnie niemieccy SS-mani i węgierscy żołnierze. Czekwały na nas wagony bydłące, pierwotnie przeznaczone dla dziesięciu koni. Do tych wagonów zapakowano po osiemdziesiąt osób. Dostaliśmy cztery wiadra, dwa na rzeczy pierwszej potrzeby i dwa z wodą. Drzwi zostały zamknięte na duże kłódki i pociąg ruszył.

Postanowiłam zwrócić uwagę na to, w którą stronę jedzie pociąg. Jazda w głąb kraju oznaczała życie, zaś w stronę granicy oznaczała śmierć. Na drugi dzień pociąg minął granicę i zorientowałam się, że jesteśmy w Polsce. Zrozumiałam wtedy, że muszę zaakceptować fakt, że wszyscy umrzemy. Nasza sytuacja w wagonie była bardzo ciężka. Ledwo mogliśmy oddychać.

Ale najgorszy był brak wody. Pociąg zatrzymywał się na kilku stacjach i prosiłam ludzi, żeby dali nam trochę wody. Ale oni odwracali głowy, jakby nic nie słyszeli, i nikt nie dał nam wody.

Podróż trwała trzy dni. Trzeciego dnia, późnym wieczorem, pociąg zatrzymał się i usłyszeliśmy wielki hałas. Zrozumielismy, że to już koniec. Szukałam nazwy i przeczytałam polski napis Oświęcim, a pod nią po niemiecku: Auschwitz-Birkenau. Nigdy nie słyszałam o tym miejscu.

Drzwi wagonu zostały otwarte i do naszych nosów wdarł się straszny smród. Wskoczyliśmy na peron i natychmiast zostaliśmy rozdzieleni z ojcem, bez możliwości pożegnania się. W tyle pozostały tylko kobiety i dzieci. Powiedziano nam, że mamy nie ruszać się z miejsca i czekać na swoją kolej. Widzieliśmy, że coś się dzieje daleko przed nami. Nie wiedzieliśmy, co.

Była późna noc, teren był oświetlony ogromnymi reflektorami. Stałyśmy tam we trzy, mama, moja siostra i ja, trzymając się za ręce. Chyba nie rozmawiałyśmy ze sobą, ale pamiętam swoje własne myśli. Byłam pewna, że to ostatnie godziny mojego życia. Zamierzali nas wszystkich zabić. Zastanawiałam się tylko, jakiej metody użyją, by zabić tylu ludzi. Ale nie udało mi się odgadnąć tej metody. Tak czy inaczej, pożegnałam się z życiem, mając nadzieję, że będzie to szybkie i nie będzie bolało.

Nagle znaleźliśmy się przed oficerem SS. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że tej nocy dyżur pełnił dr Josef Mengele. On decydował, kto ma żyć, a kto umrzeć. Wskazał na Matkę i posłał ją w lewo. Potem wskazał moją siostrę w prawo i mnie też. Matka nie chciała nas puścić. Przekonywała policjanta, że jesteśmy rodziną i chcemy być razem. Czy nie mogłybyśmy obie pójść za nią - zapytała.

Ale ten człowiek był bardzo zdeterminowany, powiedział: "Nie! Wy starsi pojedziecie w ciężarówce, a młodzi pójdą pieszo. Jutro znów się spotkacie!" Matka szlochała: "Wody, proszę, daj mi wody". Wtedy zniecierpliwiał się i krzyknął do niej: "Nie, szybko, szybko! Jeśli będziesz poruszać się szybciej, szybciej nabierzesz wody!". Więc mama musiała nas wypuścić. Jej ostatnie słowa do nas brzmiały: "Dbajcie o siebie nawzajem, dziewczyny!".

Tej nocy z 17. na 18. maja 1944 r. moja matka i ojciec zostali zagazowani w Auschwitz! I nie wiem, czy matka dostała trochę wody, zanim musiała umrzeć....

My, młode kobiety między 15 a 40 rokiem życia, musiałyśmy przejść kawałek. Następnie musiałyśmy rozebrać się do naga przed dużym barakiem i wejść do baraku, gdzie było dużo więźniarek i więźniów. Wszyscy byli ubrani w pasiaste ubrania. Musiałyśmy usiąść, a mężczyźni podeszli i zgolili nam włosy. To odebrało nam ludzką godność. Po tym musiałyśmy wziąć prysznic, dostałyśmy ubrania więźniarskie i weszłyśmy do obozu. Przeszłyśmy pod napisem "Arbeit macht frei" ("Praca czyni wolnym") i kobieca orkiestra przywitała nas wesołą muzyką.

Potem dotarliśmy do naszego baraku, dużego domu z cegły. Był już ranek, a ja przypomniałam sobie, że oficer powiedział, że następnego dnia spotkamy się z matką. Dlatego podeszłam do jednego z naszych nadzorców i zapytałam: "Kiedy przyjdzie mama?". Spojrzała na mnie, wzięła mnie za rękę i pociągnęła do okna. Tam wskazała na komin, z którego wydobywał się dym i płomień. "Widzisz ten komin?" - spytała, krzycząc. "Tam płoną twoi rodzice, twoja rodzina. Nie myśl, że jeszcze kiedykolwiek je zobaczysz! To nie jest sanatorium, idiotko, to jest obóz zagłady, do którego trafiłaś". Ja po prostu wpatrywałam się w nią, nie mogąc pojąć jej słów.

Po sześciu tygodniach pobytu w Auschwitz miałyśmy szczęście, że zostałyśmy wybrane do pracy przymusowej i wysłane do Niemiec. Po trwającej trzy dni podróży w bydłowych

wagonach pociąg zatrzymał się i mogłam odczytać nazwę stacji: Hamburg! Przyjazd do tego dużego miasta, o którym czytałam w mojej książce do geografii, był dla mnie nieco zabawny. W Hamburgu umieszczono nas w budynku, który znajdował się na Dessauer Ufer. Do dziś pamiętam, jak podziwialiśmy piękny widok z okna na Łabę.

To były całkiem piękne dni, ale niestety nie miałyśmy tam zbyt wiele czasu. Następnie przewieziono nas do innego obozu w Wedlu. Tam też ciężko pracowałyśmy, musiałyśmy robić różne rzeczy. To miejsce ani trochę nie było tak ładne jak poprzednie. Po niedługim czasie przeniesiono nas do trzeciej miejscowości o nazwie Eidelstedt. (Dziś nazywa się Lurup.) Tam spędziłyśmy najdłuższy czas naszego uwięzienia w Hamburgu, około sześciu miesięcy.

Pracowałyśmy ciężko, głód i zimno ciągle nas prześladowały. Hamburg był często bombardowany, co noc przylatywały alianckie bombowce i zrzucały swoje ładunki wokół nas. Czasami chcieliśmy, żeby trafiła nas bomba, żeby skończyły się nasze cierpienia, ale tak się nie stało.

Na początku kwietnia SS postanowiło opróżnić obóz i wsadzono nas z powrotem do wagonów towarowych. Po trzydniowej podróży dotarliśmy do innego niesławnego miejsca, zwanego Bergen-Belsen, gdzie 15 kwietnia 1945 r. zostaliśmy ostatecznie wyzwolone przez wojska brytyjskie. Sytuacja była tam bardzo chaotyczna, w obozie panował tyfus i wszelkiego rodzaju choroby. Cały czas umierali ludzie. Dopiero po pewnym czasie Brytyjczycy opanowali sytuację. Po dwóch miesiącach dostałyśmy propozycję wyjazdu do Szwecji. Przypadkowo i dzięki pomocy Szwedzkiego Czerwonego Krzyża dotarliśmy do Szwecji w lipcu 1945 r.

Minęło 76 lat, odkąd odrodziłyśmy się na nowo (moja siostra Hédi i ja) i rozpoczęłyśmy nasze nowe życie w Szwecji. Rozglądam się po świecie i to, co widzę, nie jest zbyt zachęcające. Wydawało nam się, że wraz z Auschwitz skończyła się nienawiść do Żydów, skończył się straszliwy antysemityzm. Ale, jak bardzo się myliłyśmy....

Antysemityzm pokazuje swoje paskudne oblicze na całym świecie, nawet w naszym własnym kraju, Szwecji. Antysemityzm, połączony z ksenofobią i rasizmem! Niestety, mamy teraz w parlamencie partię rasistowską, "Sverigedemokrater", która właśnie stała się trzecią co do wielkości partią! Boję się, kiedy ich słucham. Ich celem jest odesłanie wszystkich imigrantów z

kraju oraz kontrola gazet i służby cywilnej. Od początku była to partia wyraźnie nazistowska. Szerzą nienawiść, zwłaszcza wobec muzułmanów.

Rok temu w lutym, kiedy zaczynałem pisać tę wypowiedź, nie miałyśmy pojęcia, jak szybko zmieni się nasze życie. Kto kiedykolwiek słyszał słowo koronawirus? Moja podróż do Hamburga w maju zeszłego roku musiała zostać odwołana, podobnie jak w tym roku. Jestem wdzięczna, że do tej pory nie dotknęła mnie ta choroba. W międzyczasie zostałam zaszczepiona.

Jestem bardzo starą kobietą, jedną z ostatnich ocalałych. Przez ostatnie 30 lat intensywnie podróżowałam po kraju i spotykałam się z młodzieżą szwedzką. Wykładałam o drugiej wojnie światowej i jestem świadkiem tego, co może się stać, gdy pozwolimy, by nienawiść i przemoc zawładnęły społeczeństwem. I że bardzo ważne jest podkreślanie równości ludzi!

Jestem wdzięczna losowi, że po wojnie miałam tak dobre życie. Wyszłam za mąż za niemieckiego Żyda, Hansa Fränkela, urodzonego w Wuppertal-Elberfeldt, który zmarł w 2000 r. po 53 latach małżeństwa. Mamy troje dzieci i sześcioro wnucząt. A dziś mam liczną rodzinę z 15 prawnukami. To sprawia, że doceniam życie. Moja siostra Hédi, starsza o cztery lata, również ma się dobrze i ma dużą rodzinę z dziesięciorgiem prawnuków.

Więc Hitlerowi nie udało się nas zniszczyć. To my wygrałyśmy. Nasze życie toczy się dalej w kolejnych pokoleniach!

Żyjemy wiecznie...